

Łukasz Grzymisławski

Fantastyczna pani lis

Zabawny budynek, prawda? – pyta, wyciągając rękę do powitania. – Nazywają go galeriowiec, te zewnętrzne korytarze mają dawać ludziom okazje do rozmów. Ale tu prawie nikt nie rozmawia.

Dubravka Ugrešić lubi rozmawiać. Od czasu wojny w byłej Jugosławii próbuje swoimi książkami przekonać jak największą liczbę ludzi, że nacjonalizm to ślepa droga. To dlatego zresztą stała się wrogiem publicznym w Chorwacji i zdecydowała się na emigrację.

Powieści i eseje pisze tak, że trudno odróżnić jeden gatunek od drugiego. W „Lisie” nie inaczej. Powiedzmy to od razu wprost: chociaż rok się dopiero zaczął, już wiadomo, że równie dobrej powieści możemy się w nim nie doczekać. To szkatułkowa historia opowiadana przez pisarkę bez ojczyzny, którą mogłaby być, ale oczywiście nie jest, sama Ugrešić. – Podjęłam decyzję o wyjeździe jako dojrzała osoba, nie było we mnie entuzjazmu pozwalającego całkowicie się dostosować do innej kultury. Ale nie żałuję, za każdym razem, gdy jadę do Chorwacji, jest tak toksycznie, że czuję radość po powrocie – przynajmniej przez kilka dni.

Punktem startowym „Lisa” jest pewien radziecki pisarz. Jego bardziej znany przyjaciel Jewgienij Zamiatin, ten od powieści „My”, plagiatowanej potem przez Orwella i Huxleya, w liście do Stalina – prosząc o zgodę na wyjazd z kraju (a Stalin się zgodził!) – tłumaczył: „Prawdziwa literatura może pojawić się tylko tam, gdzie tworzą ją nie sumienni i godni zaufania urzędnicy, ale szaleńcy, pustelnicy, heretycy, marzyciele, buntownicy, sceptycy”. Wypisz wymaluj Ugrešić.

Przez te rowery od samego patrzenia na pani miasto człowiek robi się zdrowszy...^[1]_[SEP]

To prawda, że w Amsterdamie ludzie wyjeżdżają rowerem z brzucha matki, więc

wykształcili już pewne umiejętności: rozmawiają przez słuchawki, czytają gazety, karmią dzieci usadzone w dużych koszach – wszystko naraz, jednocześnie jadąc rowerem. Nie nazwałabym tego może dyktaturą rowerzystów, ale na mocy obowiązującego prawa nie można dotknąć ani rowerzysty, ani jego roweru, za to jemu w zasadzie wolno wszystko. To nieco irytujące, no ale ja nie urodziłam się w Holandii...

Rząd holenderski pouczył właśnie swoje ambasady, żeby posługiwały się nazwą Niderlandy, a nie Holandia.^[L]_[SEP]

Niech powiedzą to Serbom, którzy od zawsze mówią „holandzki syr”, zwłaszcza że Chorwaci dla zaznaczenia odrębności upierają się przy „nizozemskim syrze”.

Domek dla lalek, lalkowe miasto – tak, lekko szyderczo, nazywała pani kiedyś Amsterdam. Teraz pisze pani w „Lisie”: „Tylko wielkie kultury są inkluzywne, i dlatego są wielkie. I tylko małe kultury są ekskluzywne, dlatego też pozostają małymi”. W którego typu kulturze mieszka pani obecnie?

Wciąż jeszcze w inkluzywnej. I to zasługuje na uznanie, bo przecież na świecie – tego kraju nie wyłączając – tendencja jest odwrotna. Od pierwszego dnia tutaj byłam przekonana, że to jest „moje” miasto. A dodajmy, że miałam już wtedy swoje standardy. Np. w tej strasznej Jugosławii w latach 80. liczba publikowanych przekładów literackich była porównywalna do tej w Holandii. Pewnie dlatego, gdy po raz pierwszy byłam w Stanach, w 1982 r., takim rozczarowaniem było odkrycie, że prawie nikt nie znał tam europejskich książek. Bo ich tam nie było. Były natomiast spojrzenia typu: „Przyjeżdża z jakichś stepów i sugeruje, że my czegoś nie ogarniamy?”.

Jugosławię zastąpiły nacjonalistyczne państwa, w których nie odczuwa się już potrzeby poznawania innych punktów widzenia, ale faktem jest, że cały świat zadawała się teraz dziesięcioma książkami rocznie. Dziesięć hitów w zaprogramowanym globalnie przemyśle sprzedawania dobrze przyswajalnych opowieści; łatwo je rozpoznać – to te ze stojaków na lotniskach od Francji po Finlandię.

Większość wydawców w Unii chętnie wyda przekład, pod warunkiem że ktoś za to zapłaci. I czasem płacą – państwowe instytuty promocji kultury lub pozarządowe

fundacje.

Co do Polski – długo stanowiła rodzaj pośrednika między małymi literaturami wschodniej Europy a resztą świata. Ale w pewnym momencie to się skończyło.

A np. z Chorwacją sytuacja jest specyficzna. To państwo, w którym nacjonalizm z wyraźnymi elementami faszyzmu znajduje swój wyraz m.in. w budowie rozległej struktury dyplomatycznej, będącej w istocie strukturą mafijną. Ten czteromilionowy kraj dysponuje nieproporcjonalnie dużą liczbą placówek konsularnych, w których można poupychać na dobrze płatnych posadach, od kucharzy po szoferów, dowolną liczbę krewnych i kumów. Im więcej ludzi korzysta z systemu, tym mniejsze ryzyko, że skuszą się na jego zmienianie.

Zdziwił panią wynik styczniowych wyborów prezydenckich?

W chorwackiej polityce kłamstwo to reguła, ale prezydent Grabar-Kitarović była czempionem kłamstw. Nie dziwię się, że ludzie mieli jej dość. Nawiasem mówiąc, dziś jest w Izraelu na obchodach rocznicy wyzwolenia Auschwitz, a wczoraj negowała udział marionetkowego państwa chorwackich ustaszy w Holocauście.

Ale pokonał ją nie nacjonalista, który obiecywał ulaskawienie zbrodniarza wojennego, tylko socjalista opowiadający się za surowym sądzeniem sprawców zbrodni z lat 1991-95.

Sądzę, że przegrała z powodu powszechnego niezadowolenia z sytuacji gospodarczej, a nie z powodu polityki historycznej. To jej środowisko polityczne odpowiada za trwające od 30 lat obłaskawianie chorwackiego faszyzmu. 30 lat temu napisałam esej o konfiskowaniu pamięci, bo przeczuwałam, że wraz ze zmianą reżimu duża część naszej zbiorowej pamięci zostanie wymazana i napisana na nowo przez zwycięzców. I faktycznie: ludzie władzy i usługowe media ukuły termin „jugonostalgia”, który w nowej Chorwacji stanowił poważny zarzut – tęsknoty za Titą i komunizmem – i miał stanowić przeszkodę w adaptowaniu się do nowych okoliczności.

Coś w tym jest, w poprzednim systemie w ideologicznym zestawie do indoktrynacji

ważne były takie terminy jak: antyfaszyzm, samostanowienie, paszporty dla każdego, koncepcja trzeciej drogi czy kosmopolityzm. Z takim bagażem trudniej jest zaakceptować szowinizm, nacjonalistyczną histerię, etniczne czystki czy rehabilitację symboliki nazistowskiego państewka ustaszy. Przecież nawet nazwa nowej waluty – kuna – została wzięta z Niepodległego Państwa Chorwackiego, hitlerowskiej marionetki, która zorganizowała Żydom, Serbom i Romom obóz koncentracyjny w Jasenovacu.

Inkluzywne są na pewno pani książki. Przy- pominają matrioski: opowieści szkatułkowe, dygresje, mylenie tropów, które nie pozwalają łatwo oddzielić wydarzeń prawdziwych od wymyślonych, a w „Lisie” miesza pani esej z regularną powieścią. To w ramach hołdu dla rosyjskiej awangardy lat 20. i 30., od której zaczyna się ta powieść?

Nie da się ustalać strategii, pisząc książkę, bo to jest superdynamiczny proces. Ostatecznie jej kształt to zawsze jest kwestia osobistego smaku i rzeczy takich jak doświadczenie czy rodzaj odbytej edukacji. Ale faktem jest, że za sporą część mojego backgroundu odpowiadają Rosjanie: od konstruktywizmu w malarstwie, przez oberiutów, ostatnią awangardową grupę literacką w Rosji Radzieckiej, po semiotyka Jurija Łotmana. Przy czym podczas gdy Łotman jest znany na Zachodzie, a obrazy Malewicza osiągają niebotyczne ceny na aukcjach, to o Charmsie, Wwiedeńskim czy takim Waginowie, autorze kilku ma- łych, ale nieprawdopodobnie interesujących powieści, wie mało kto. Prawie nikt z tych ludzi nie przetrwał stalinizmu, a Bułhakowowska zasada o „rękopisach, które nie płoną”, w ich przypadku często nie miała zastosowania. Wiadomo, że sensem ich działania było łamanie zasad – dlatego cieszę się, gdy ktoś próbuje mnie przekonywać, że moja książka nie jest powieścią, bo nie trzyma się zasad gatunku. Z drugiej strony nie zapominam, że literatura służy do komunikacji, więc nie ma sensu lekceważyć czytelnika. Nawet jeśli ocenia, że „to się nie trzyma kupy, to musi być coś słowiańskiego”.

Żeby było jasne: mimo długiego doświadczenia z rynkiem wciąż jestem optymistką. To znaczy zawsze kupię i przeczytam książkę, o której wszyscy mówią, nawet jeśli spodziewam się rozczarowania.

Czego pani oczekuje od pisarzy?

Czegoś specjalnego, po czym mogę ich rozpoznać. Że się czegoś dowiem, że dostanę nowego rodzaju zdanie, jakiś nowy głos, nową architekturę opowieści.

Kto ostatnio spełnił te oczekiwania?

Przedostatnia powieść Jennifer „Zanim dopadnie nas czas” – bo jest tam niezwykle pomysł na opowiedzenie historii. Irlandka Anne Enright, która słusznie dostała Bookera za świeżość. Francusko-marokańska Leïla Slimani, która ma na koncie coś w rodzaju współczesnego wariantu „Pani Bovary”. Doceniam też wysiłki rynku, by odnajdywać na bieżąco potencjalne głosy pokolenia. Nawet jeśli to prowadzi do zabawnych, przypominających socreal sloganów marketingowych w rodzaju „Sally Rooney Salingerem ery Instagrama”.

Otessa Moshfegh, której matka jest zresztą Chorwatką, mogłaby być głosem pokolenia Królowny Śnieżki, które ma tak bardzo dosyc swojego życia, że zamiast je ciągnąć, wolałoby już pójść spać. Tu jednak jest pewien problem, bo poznajemy z detalami przebieg wypadków, ale niewiele wiemy o przyczynach, o tym, co naprawdę się dzieje.

Może właśnie tak ma być, bo to dobrze opisuje to pokolenie?

Ja w ogóle nie wiem, czy da się jeszcze wyodrębnić jakieś pokolenia z definiującym zestawem cech. Ostatnim, co do którego wiem na pewno, że istniało, jest to, do którego należałoby od wieku ważniejsza jest tu geografia polityczna. Europejczycy ze Wschodu długo dzielili doświadczenie – lubjego widmo – które czyniło ich, nazwijmy to, historycznie nerwowymi. Nie da się wtedy być zrelaksowanym i powiedzieć sobie, że co tam, w tym roku napiszę sobie coś dla żartu, np. o futbolu. Bo człowiek zdaje sobie sprawę z tego, że nie można marnować czasu na głupstwa, skoro w każdej chwili wskutek czyjegoś kaprysu może zamknąć się okno startowe – i koniec z publikowaniem. Trzeba mówić, co ma się do powiedzenia, póki jest szansa.

Ja miałam taki rok rozluźnienia, kiedy zajmowałam się wyłącznie literackością literatury, czyli przyjemnymi rozważaniami akademickimi. A potem przyszła wojna.

Kto wie, gdybym miała domek gdzieś w Anglii, z sadem i chartami, może poświęciłabym tysiąc stron wdziękowi wiejskiego życia? A może i nie, biorąc pod uwagę to, jaki wpływ mieli na mnie György Konrád czy Milan Kundera, który nawet pisząc od dawna w zachodni, zrelaksowany sposób, i tak nigdy nie traci całkiem tego wschodniego spięcia. I myślę, że Olga Tokarczuk także to ma, dlatego podoba mi się, że dali jej Nobla.

Zdarzyło się kiedyś, że ktoś z pani znajomych rozpoznał się w postaci z powieści i miał pretensje o szyderstwo lub ironię?^[L]_[SEP]

Och, ludzie zawsze się rozpoznają, nawet jak ich tam nie ma. A już zwłaszcza w bardzo małych krajach. Z połową obecnego chorwackiego parlamentu kiedyś chodziłam do szkoły. Najlepsza inspiracja płynie z losów konkretnych ludzi, ale dokładam starań, żeby moje postaci nie opierały się na pojedynczych osobach.

Podoba się pani np. to, jak w „Mojej walce” obszedł się ze swoimi bliskimi Knausgård?

Początek tej powieści to jedno z najlepszych otwarć, jakie znam. Jeśli takie rodzinne auto-dafé jest dokonywane z sensem i jeśli rok albo dwa po wrzawie wszyscy nadal się zgadzamy, że to faktycznie miało sens, to nawet najbardziej zdradzeni najbliżsi powinni uznać, że było warto. W końcu wiedzieli, z kim się zadają.

Na pewno zastosowanie narracji pierwszoosobowej zmienia odbiór powieści, wielu automatycznie nie zaczyna wtedy dociekać, jaki jest udział autobiografii w tej autofikcji. Bo to jest ważny obecnie termin: autofikcja. Ale dlaczego z faktu, że z mojego „Ministerstwa bólu” da się wyrysować prawdziwą mapę Amsterdamu, należy od razu wyciągać wnioski, że to reportaż, tylko nieco fabularyzowany? Bo rynek lubi sprzedawać towar szybkimi analogiami, etykietami, które wprasowują w jakiś trend – klient potrzebuje taksonomii, która pozwoli mu ogarnąć chaos i nadmiar.

Rynek to najkapryśniejszy władca. To on każe nam dzielić świat na centrum i peryferia. Tylko jeśli weźmiemy np. futurystów w ZSRR, to byli raczej wynikiem dziejowego nieporozumienia na peryferiach czy logicznym skutkiem procesów kulturowych w epicentrum? Historię kultury także piszą polityczni zwycięzcy.

Kiedy po raz pierwszy poznała pani typologię pisarzy sformułowaną przez Isaiaha Berlina – podzielił ich na jeży i lisy – to do którego rodzaju chciała pani należeć?

A jak pan myśli?

No, to tylko jest pozornie takie oczywiste. „Lis wie wiele rzeczy, ale jeż wie jedną” – jak głosi grecki aforyzm, który zainspirował Berlina. Lis to wielość idei, która rodzi tolerancję i liberalizm, a jeż to przywiązanie do uniwersalnej idei, która tłumaczy wszystko, więc wiąże się z autorytaryzmem. Lisami są Montaigne, Puszkina czy Joyce, a jezami – Dante, Dostojewski czy Proust. Ktoś przytomnie zauważył, że w „Lisie” demon- struje pani także podejście jeża – traktując literaturę jako dostarczający życiowego celu i totalnych wyjaśnień ideał intelektualny.

To może opowiem, jak powstawała ta powieść. W połowie lat 70. pojechałam do Moskwy zebrać materiały do pracy o Borysie Pilniaku, wziętym w latach 20. radzieckim inżynierze dusz, który jest autorem fenomenalnej „Opowieści o tym, jak powstają opowieści”.

W której pisze, że lis to „wcielenie sprytu i zdrady. Jeśli jego duch zagnieździ się w człowieku, plemię tego człowieka będzie przeklęte. Lis jest totemem pisarzy”.

Pilniak to z wielu względów interesujący pisarz, ale z pracy nic nie wyszło, bo przerosły mnie sowieckie procedury – nawet korzystanie z archiwum obwarowane było tuzinami wymogów, a o kopiarkach w czytelnich nie było mowy. Przez resztę stypendium po prostu żyłam Moskwą, co było inspirującym doświadczeniem, zwłaszcza że, można wierzyć lub nie, jako Jugosłowianka miałam tam status western girl. I nagle przypadkowo poznałam syna Pilniaka, co uznałam za znak. Więc zabrałam się do przekładu powieści „Nagi rok” i tego lisiego opowiadania, z którym właściwie do dziś się nie rozstaję. Później przekładałam także oberiutów, o których spuściznę w samej Rosji troszczyła się wtedy garstka zapaleńców, sławistów z Leningradu. A na jednym z manifestów grupy OBERIU wśród podpisanych figurował człowiek przypis do historii, niejaki Dowber Lewin, autor „eksperymentujących powieści”. Jedna skromna wzmianka, jakby gruby płaszcz zapomnienia zostawił ją na widoku przez biurokratyczne

niedopatrzanie. Jeszcze 20 lat temu, w erze przed Google'em, świat był przepastny i tajemniczy. Udało mi się wyszperać jeden dokument potwierdzający istnienie Borysa Michajłowicza Lewina – wspomnienie naocznego świadka jego publicznego odczytu. Mało na biografię, wystarczająco na powieść; dla powieści lepsza od wyczerpujących źródeł jest otoczona faktami wyrwa po jakiejś historii. Pisałam zapośredniczoną „lisią” rekonstrukcję losów Lewina z przerwami przez lata, mówiąc sobie jednocześnie, że warto by pojechać do Japonii śladem Pilniaka, żeby zweryfikować jego opowieść. I wtedy w spamie odnalazłam zaproszenie do Japonii. Podczas dziesięciodniowego pobytu okazało się, że w pewnej japońskiej pracy poświęconej Pilniakowi jest przekonująca sugestia, iż Japończyk z jego opowiadania to postać zainspirowana Jun'ichirō Tanizakim, autorem m.in. „Miłości głupca”. A potem okazało się, że Pilniak został opisany w książce pewnej Japonki, komunistki, która studiowała architekturę w Nowym Jorku i spędziła rok w Moskwie, poznała Eisensteina i wielu uprzywilejowanych mieszkańców Pieriediełkina. Ale co obieżyświat Pilniak ma wspólnego z Lewinem (poza tym, że zapewne i Lewin nie przeżył Wielkiego Terroru, chociaż kto wie...) – tego można się dowiedzieć z „Lisi”. Ta książka to efekt spotkania z nieprawdopodobnym zapętlaniem kilku losów, przy czym ja zdołałam tylko lekko zdrapać w paru miejscach kurz, którym pokryta jest ta historia, jak miliony innych.

Czyli lis, nie jeź?

Takie klasyfikacje są wdzięcznym narzędziem analitycznym, ale jeśli są sztywne, nie mają sensu. Gdyby tę brać na serio i konsekwentnie, to musielibyśmy podzielić się na nudziarzy lub niemoralnych. A ja na przykład, owszem, mam swój kompas moralny, ale to nie znaczy, że nie lubię sobie pogrywać w pisaniu... Bo pisanie to jest gra, a czasem nawet blef lub oszustwo.

Zauważyłam, że stereotypy związane z lisami (przebiegłe złodziejaszki, niegodni zaufania kanciarze) są tak silne, że nikt nie dostrzega, co naprawdę napisałam w „Lisie”. Dlaczego tak łatwo można ten „totem pisarza” sobie ustrzelić? Nikt się za nim nie wstawi, zwłaszcza że trofeum w postaci futra jakąś wartość ma. Co jest zwykle ową karygodną winą lisa? Że czasem świśnie jakiegoś nędznego kurczaka?

U Ezopa lis używa wszystkich swoich wdzięków, całego arsenału, tylko po to, żeby tępy kruk skusił się na udzielenie jakiejś odpowiedzi, co z kolei sprawi, że trzymany przezeń w dziobie kawałek sera wpadnie w łapy lisa. Nędzny, upokarzający ochłap za widowisko pierwszej klasy.

Znajomi z Anglii przysłali mi niedawno wiersz Teda Hughesa, w którym lis patrzący zza okna pozwala pisarzowi przełamać blokadę twórczą – w zasadzie sam jest pisarzem. Żałuję, że nie użyłam go w książce.

George Saunders wydał niedawno książeczkę o lisie, który lubi obserwować ludzi mieszkających koło jego lasu, więc uczy się ich języka, żeby pojąć ich codzienną krzątanię. A potem łamaną, fonetyczną angielszczyzną opisuje, co robią z jego lasem inni ludzie, z koparkami.

Mimo takich przykładów zachodnia kultura ma dość jednowymiarowy obraz lisa. Za to na Wschodzie... W Japonii lisy są czczone w świątyniach. Od ich popowych wizerunków nie można się opędzić.

**Pisze pani, że „unikanie ryzyka czyni naszą pracę komfortową, a więc nieistotną”.
Lubi pani podejmować ryzyko czy to po prostu konieczne?**

Lubię myśleć o Szeherazadzie jako wzorze tej sytuacji: pozwolą jej żyć tak długo, jak długo jest w stanie dostarczać zajmujących opowieści. Jej historia kończy się jak regularna love story, ale wcześniej to wyrafinowany horror. O pisarzach mówi się czasem jak o lisach, że to drapieżnicy. Ja zamiast naszych ofiar widzę wycelowane lufy, miecz nad głową Szeherazady.

Narratorka w „Lisie” opisuje swoją relację z małą siostrzenicą, która odwiedza ją na emigracji – po jej wyjeździe znajduje pod fotelem trzy małe figurki, dwa zwierzątka i smerfa, kładzie je na półce jak relikwie i płacze. Dlaczego być pisarzem znaczy często być samotnym?

To raczej dotyczy kobiet, które rzadko mogą sobie pozwolić na to samo co mężczyźni. Gdyby poszperać w historii literatury, to się okaże, że każdy Nabokov miał wokół siebie

jakąś Véré. Mużę, opiekunkę, sekretarkę, redaktorkę, impresario, strażniczkę pamięci.

Wdowa po „wielkim pisarzu” z „Lisa” to postać zainspirowana kimś prawdziwym?^[1]_[SEP]

Wieloma kobietami, w tym obiema wdowami po Danilo Kiżu, które z Belgradu i Paryża strzegą kanoniczności jego dzieła. Czy Antoniną Pirożkową, współprojektantką moskiewskiego metra i żoną Izaaka Babla, którego zabito w 1940 r., ona zaś do śmierci w wieku 101 lat zajmowała się jego spuści- zną. Czy to była misja, poświęcenie, przekleństwo? W każdym razie w odwrotną stronę takie sytuacje zdarzały się dotąd rzadko. „Mistrz i Małgorzata” to zapis fantazji o tego typu relacji, którą dzielą zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Historia literatury składa się z pomników mężczyznom i kości kobiet. Odsyłam do świetnej książki Stacy Schiff o Véroze Nabokov. Zasłużony Pulitzer.

Pierwszą kobietą pisarką, o której wiem, że zorganizowała sobie swoje życie zawodowe w „męski” sposób, była dopiero Susan Sontag.

Modernizm delikatnie usunął kwestię pieniędzy – czy tak ważną jeszcze np. dla Jane Austen – z pola zainteresowania literatury, ale jest coś na rzeczy w tym, co mówiła Virginia Woolf, że kobieta nie może się zajmować pisaniem, jeśli nie ma własnego pokoju i minimalnego dochodu 500 funtów rocznie.

Widzę w „Lisie” – chociaż to migotliwa, wielowątkowa książka – rodzaj troski o pani własne dziedzictwo, rozumiane jako starannie wypracowany pogląd na literaturę czy rolę pisarzy w społeczeństwie.

Tego typu sprawy wychodzą przy okazji, gdy pisze się o pisarzach. Tu zajęłam się kilkoma: jednym, który w swoim czasie odniósł sukces, ale zginął w stalinowskich czystkach, a dziś nikt o nim nie pamięta; drugim, który miał jeszcze mniej szczęścia i stanowi dziś wyłącznie krótki archiwalny przypisek do historii innych. Jest jeszcze trzeci, który osiągnął sławę swoim kunsztem w dwóch różnych językach.

Właśnie, skąd pomysł, żeby opisać odkrycie przez Nabokova w Wielkim Kanionie nowego gatunku motyla jako zdarzenie w zasadzie erotyczne?

Z jednego czy dwóch z zachowanych zdjęć ze słynnej podróży Nabokovów samochodem przez Amerykę, ze Wschodniego Wybrzeża do Palo Alto. Mieli kierowcę, uczestniczkę kursu rosyjskiego prowadzonego przez Nabokova – zgłosiła się na ochotnika razem ze swoim samochodem. Jechali od jednego taniego motelu do drugiego, właśnie w takiej prowincjonalnej scenerii rozgrywa się „Lolita”. Szofer nazywała się Dorothy Leuthold i dziś sama jest przypisem do historii – literatury i entomologii; jej imię nosi motyl z Kolorado. Ja dodałam jej rosyjskiego znajomego w Nowym Jorku, nazwiskiem Bieloczkina, które mogą pamiętać czytelnicy „Pnina”... Sporo jest takich niby nieprzydatnych haczyków w tej książce.

Jednym z pani ulubionych tematów jest kicz. Dlaczego należy go piętnować?^[1]_[SEP]

Ależ nikt go już nie piętnuje, przeciwnie, jest tak powszechny, że już nawet nie stosuje się jego nazwy; jest zbyt pejoratywna. Może 40 lat temu to był temat, pamiętam specjalne konferencje i wysyp książek o kiczu, gdy Sontag napisała „Notes on »Camp«”. Obecnie kicz jest zalegalizowanym, oficjalnym i podstawowym trybem estetycznym naszego życia. Stał się przezroczysty, powoli tracimy zdolność jego detekcji.

W Jugosławii istniał specjalny podatek dla twórców pulpowej kultury, z którego zysk miał zasilać tzw. kulturę wysoką. Trudno by było zdefiniować pulpę dziś. Jeśli kicz to słabość do sztuczności i przesady, to kicz jest sztucznością, która stała się naturalna.

Póki kicz ogranicza się do twórczości, jakoś można sobie poradzić. Co, jeśli staje się zasadą w polityce?^[1]_[SEP]

To wróćmy do Chorwacji: odchodząca (chwilowo) prezydent to realizacja kiczowatych męskich fantazji. Świat zapamiętał ją dzięki obcisłej koszulce w narodową szachownicę, w której ścisła w szatni piłkarzy zdobywających wicemistrzostwo świata. Kiczem jest język polityczny sprowadzony do zestawu gotowych klocków, które można dowolnie układać i które zamieniają naszą przestrzeń publiczną w operę mydlaną. Nostalgia odcedzająca miłe rzeczy od prawdy jest kiczem. Ludzie reagują w prywatnych sytuacjach w sposób wyuczony przez telewizję i jej programy o strukturze narracyjnej zbliżonej do filmów porno – i to także jest kiczem.

Ideologie, oczywiście, stały się kiczem. Nacjonalizm był nim od początku.

Literatura może tu pomóc?

Skądże, przecież żyjemy w cywilizacji cyfrowej. Ponadto kicz został zaakceptowany, ponieważ niebywale schlebia ludziom. Docenia ich i dowartościowuje, mówiąc: jestem taki jak wasze skryte pragnienia i teraz nie musicie się już ich wstydzić. To masowa strefa komfortu, w której rozkwita nasz ludzki gen imitowania. Staje się to groźne, gdy pojawia się lider potrafiący to wykorzystać. Umiem sobie wyobrazić sytuację, w której wszyscy zaczniemy wchodzić z uśmiechem do komory gazowej, bo w mediach społecznościowych rozejdzie się wiadomość, że tak należy. Nazywam to kulturą konsensusu – kwestionowanie osądu większości nie jest mile widziane.

Żyjemy w czasach teatralizacji wszystkiego, każdy z nas gra siebie. Dziś przywódca najsilniejszej demokracji rywalizuje o uwagę obywateli z Kim Kardashian i tymi samymi co ona środkami.

Moja siostrzenica ma teraz 17 lat. W dzieciństwie była gejzerem energii, teraz jest raczej w entropii – zapada się powoli w ekran smartfona. Nie przeczytała linijki z moich książek.

Długo nie miałam smartfona, ale poddałam się po pewnej wizycie w Nowym Jorku, gdy nie mogłam znaleźć żadnej mapy ulic, żadnego rozkładu jazdy. Bo wszystko jest w sieci. Dziś zauważam, jak zanika mi pamięć – to jeszcze nie demencja, to mózg uwzględnia dostępność Google'a.

Wysoka kultura, popkultura czy te kategorie nie są przestarzałe? Dlaczego czytanie Flauberta ma wykluczać serial na Netfliksie?

Nie wyklucza. Ja uwielbiam Netfliksa. Rozwój tego typu platform dokonuje prawdziwej globalizacji – w jaki sposób przedtem dowiedziałabym się czegokolwiek życiowego o Flandrii, Walii albo Laponii? Teraz mam dostęp do wieloodcinkowych sag o takich miejscach.

Ta szkoła w Turynie, którą pani opisuje w „Lisie”, istnieje?^[L]_[SEP]

Tak – i pewnie dlatego nie wydadzą tego we Włoszech. Założył ją pisarz Alessandro Baricco w dawnym gmachu więzienia, który przekazało miasto, i za pieniądze inwestorów z branży spożywczej. Dziekanem jest były reprezentant kraju w koszykówce. A nazwą naprawdę jest imię bohatera „Buszującego w zbożu”.

No i czego tam uczą?

Tworzenia projektów. M.in. na kursie creative writing. Każdy może aplikować, nauka trwa dwa lata, nie ma egzaminów wstępnych, ale jest chesne – 20 tys. euro. Spotkałam tam np. studentki medycyny, był też 18-letni autor książki o Cezarze. Finałem jest spotkanie z szychami biznesu, trzeba ich przekonać, że warto sfinansować projekt, nad którym pracowało się przez dwa lata.

OK, świat i tak jest zawalony „projektami artystycznymi” i „narracjami”. Po wizycie w tej szkole sprawdziłam, ile jest szkół creative writing w Europie. Otóż tysiące.

No, Stendhal uważał, że po zasmakowaniu pisania czytanie wydaje się przyjemnością drugiego rzędu. Poza tym w Ameryce każdy szanujący się uniwersytet prowadzi takie kursy.

Ale w Ameryce powstały wtedy, kiedy w sowieckiej Rosji. Tak, tak, te dwa kraje mają więcej wspólnego, niż się wydaje... Chodziło o zapewnienie bytu niekomercyjnym pisarzom, którym oferowano wykłady. W Rosji zaś – o trzymanie ręki na pulsie świata; były to jedyne miejsca, gdzie wyselekcjonowani ludzie mieli dostęp do zachodniej kultury, prasy, kina, powieści.

Co do Ameryki, to warto pamiętać, że także w sprawach kultury to jest potęga. Owszem, wymyślili modele biznesowe zarabiające na komercjalizacji kultury, ale... Nieważne, kto akurat rządzi w Waszyngtonie czy ile zamorskich wojen prowadzi, ten kraj ma najliczniejszą grupę świadomych konsumentów kultury, najwięcej uczelni w pierwszej setce najlepszych na świecie itd. Ten efekt skali ma znaczenie. Kiedy odbywałam ostatni tour po USA, mówiłam im, że ich system kulturalny przypomina mi komunizm; cha cha, odpowiadali, to wasze europejskie poczucie humoru...

Tymczasem w komunizmie istniał podwójny obieg kultury, oficjalny i podziemny. Uwzględniając wszelkie różnice – w Ameryce dziś też jest podwójny obieg. Ludzie z tego drugiego obiegu są niewidzialni dla pierwszego, nie są też zainteresowani „New York Timesem” czy nawet „New Yorkerem”, bo wiedzą, że tylko bardzo ograniczone grono może coś opublikować w „New Yorkerze”.

Byłam w Portland, dość prowincjonalnym mieście, a jednak z pięcioma olbrzymimi, zaopatrzonymi bez zarzutu księgarniami; poznałam tam poetę, który zarabia na życie akupunkturą, ale prowadzi też literacki podcast. Lista jego gości pokrywa się w zasadzie z listą amerykańskich kandydatów do Nobla. A Ursula Le Guin, która była w jego podcaście pięciokrotnie, potem wydała te rozmowy w książce. Jak to możliwe? Bo tylko w takich mediach pisarz może dziś produkować się przez dwie godziny.

Ale kto go słucha?

O to samo zapytałam trzech gości z lokalnej rozgłośni w Chicago, którzy przeczytali moje książki i wypytywali mnie o nie przez bitą godzinę. Mówią: „No, faktycznie, mamy niszowe zasięgi, rzędu 30 tys. ludzi”...

Potem w kawiarni widzę barmana, który czyta „Lolite”. Pytam, czy jest studentem literatury. „Ależ skąd, po prostu odhaczam tytuły z listy, którą zrobiłem: książek, które należy przeczytać przed śmiercią”. I poprosił, żebym dodała mu jakiś tytuł. Poleciłam Izaaka Babla, wpisał. Wątpię, żeby ktoś czytał dziś Nabokova w Zagrzebiu.

Na pewno ktoś gra w piłkę. A Albert Camus mawiał, że wszystkiego, co wie o moralności, nauczył się na boisku. Jest taka scena w „Ojcu w podróży służbowej” Kusturicy: ludzie różnych poglądów i pochodzenia przyklejeni do radia słuchają transmisji meczu Jugosławia – ZSRR. Może to jedyna okazja, żeby poczuć jakąś jedność?

To były lata 50., kiedy wprawdzie można było dostać duży wyrok za niefortunny żart, ale za to futbol był wtedy niewinny, pozbawiony trujących go dziś pieniędzy. Chorwaci dobrze grają w piłkę, więc są gwiazdami, a im więcej zarabiają, tym chętniej zrobią cokolwiek, żeby nie stracić kontraktów. I nikt się nie zająknie, gdy ktoś na murawie

stadionu Hajduka w Splicie wytrawi środkiem chwastobójczym swastykę wielkości boiska. W poetyce polityków to są „incydenty”, tylko że podobnych dzieją się tysiące. Wiele pod przyzwalającym okiem Kościoła. W Chorwacji przez ostatnie 25 lat powstało dziesięć katolickich uczelni teologicznych. Co roku wypływają z siebie zastępy duchownych, dla których brakuje parafii, więc obsadza się ich jako kapelanów przy dowolnej instytucji, z klubami sportowymi włącznie. W szpitalach nie ma anestezjologów, ale kapłani są. Kościół jest najbogatszą korporacją w kraju, pozostając zarazem w ścisłych stosunkach z armią.

Franjo Tuđman, generał i historyk oraz tzw. ojciec założyciel nowego państwa, dokonał filmowego montażu: wyciął 50 lat taśmy naszej zbiorowej pamięci i dokleił swój wizerunek bezpośrednio do roku 1945. Podobnie zrobili swoim Serbowie, ale w Chorwacji tzw. kultura ustaszowska jest już osobnym fakultetem uniwersyteckim – to tam wypracowuje się narzędzia historycznej rewizji XX w. Do czego to prowadzi? Ante Gotovina, były pułkownik skazany w Hadze za zbrodnie wojenne – dowodził operacją wysiedlenia 200 tys. Serbów – dostał w 2005 r. 24 lata, ale wyszedł na wolność po kilku miesiącach, a dziś jest biznesmem i narodową ikoną. Eksportuje tuńczyka do Japonii, a od narodu dostał willę nad Adriatykiem. Na ścianie zagrzebskiego muzeum sztuki nowoczesnej namalowano wielkie graffiti z Gotoviną: „Wszystkiego najlepszego, Generale”. Nikt od lat nie śmie go zamalować.

„Nasi”, nawet jeśli zbrodniarze, są oczyszczani i umieszczani w podręcznikach. Kraj zalały ich pomniki, wiele z nich to przerobione pomniki partyzantów z lat 40.

Dlaczego ludzie to akceptują?

Bo mówi im się, że taka jest wola większości. I w pakiecie, żeby uśmierzyć dysonans poznawczy, sprzedaje im się historię, w której Jugosłowianie przez dekady stawiali wewnętrzny opór dyktaturze, zupełnie jak, powiedzmy, Polacy. Cierpieli jak inni, albo i bardziej. A skoro jesteś ofiarą, to przecież nie możesz być sprawcą. Polacy mają jednak czar – na białym historii dysydentów i „Solidarności”. W Jugosławii nie było żadnych dysydentów. Za wyjątkiem krótkiego okresu titowskiego „maccartyzmu” ludziom żyło się tu naprawdę nieźle. Dlatego trzeba wielkiego wysiłku, żeby zracjonalizować sobie tę

absurdalną wojnę z lat 90.

A dlaczego wybuchła? Bo nomenklatura w każdym kraju federacji zorientowała się, że system był tak przekonany o swojej wieczności, iż nie zadbał o prawne potwierdzenia prawa do ziemi, fabryk, domów, mieszkań... Ta wojna była o akty własności.

Wojnatransakcja. I w przypadku Chorwacji Tudźman naprawę ustanowił państwo feudalne, z suwerenami, którzy rozdają nieruchomości, koncesje i zamówienia swoim lennikom.

Ale dlaczego domagam się prawdy i autentyczności? Kim ja jestem, żeby o tym przesądzać? Bóg istnieje, dopóki wierzymy w magię słów, to samo dotyczy literatury. To musi wystarczyć.